

LEOKADIA DĄBCZAK

ur. 1931; Wysokie



Miejsce i czas wydarzeń	Wysokie, II wojna światowa
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, wysiedlenia Polaków, "czarni", życie w czasie okupacji, śmierć sąsiada, ucieczka z domu, ucieczka przed samolotem, pacyfikacja, Cieszyn, praca u baora

Wysiedlali Polaków i nasiedlali tych „czarnych”

Jak wysiedlali sąsiednie wsie, to wysiedlali Polaków, a nasiedlali tych czarnych –to uciekli ludzie i u nas też mieszkali. To te siedzisko, to jak się złożyło tu ten blat taki, to rozścielali tam, rozkładali na tej ziemi, na tej podłodze glinianej, i tak ludzie spali. Do nas cała rodzina sprowadziła się, do tej chałupy. I krowę mieli, no to krowę też wprowadzili do obórki do nas. I jak przyszło lato, to już swoją się goniło, to prosili, żebyśmy i ich tę krowkę paśli, więc już brat miał te dwie krowki. Ojciec mówi: „Uciekaj do lasu, w pole, gdzieś tam” No i brat z tymi krowami poszedł. Cały dzień się włóczył, tam gdzieś aż pod Skierbieszów. Później stamtąd zaczęli strzelać, na wieczór dopiero przyszedł do domu z krowami. A jeszcze u sąsiadów zmarł syn. Pochować nie można było w Skierbieszowie, bo Niemcy łapę położyli na cmentarzu, to musieli zawieźć gdzieś dalej, żeby go pochować. I przyszedł do ojca, żeby mu pożyczył tę kasztankę i woza, żeby zawieźć tego chłopaka na cmentarz. A ojciec mu odmówił, to mówi: „To pożycz mi chociaż drabinki” A drabinki, to były luksusowe, takie do wyjazdu. A później, to już takie bryczki niby się robiło, no a tak, to były takie drabinki, i tu siedzenia się kładło, jak do kościoła się jechało. –„No to drabinki chociaż pożycz” No i te drabinki mu pożyczył. I jeszcze ja z mamą tak ojca skarciliśmy, jak mogłeś nie pożyczyć, takie nieszczęście, to dziecko umarło –na gruźlicę umarł sąsiad, młody chłopak. Nie wiem ile, dwadzieścia –dziewiętnaście lat miał. No i później brata wysłał z tym, a mama w kozakach będzie siedzieć, w tym krzaku, bo mama nie wybiera się nigdzie, tylko w kozakach będzie siedzieć, a ja z ojcem uciekamy z wozem. I nie ma drabinek, tylko te, już nie pamiętam jak się nazywają, te na rozworze te podpory takie, więc ojciec wziął gnojowianki - to takie jak drabinki, tylko z pełnych desek, co się wywoziło gnój na pole. No i ojciec założył te gnojowianki, no i to, cośmy tam mieli, a był zwój płótna Inianego zrobiony. I to płótno śmy zabrali. Już pośpiech, krzyk, bo już dym, pali się, tam gdzieś się już pali. Mama jeszcze mówi tak: „Weź jeszcze brata

zimową kurtkę”–krawiec mu uszył, bo mówi: „Jakby się spaliła, przyjdzie zima...” I ja wzięłam to na siebie. No i pojechaliśmy z ojcem. Wyjechaliśmy na górę, taki lasek mały tam u nas był. I bieżną sąsiedzi, ale to partyzanci. Jeden to ten, którego krowa u nas była: „Uciekajmy, chodź, idziemy” No i wyjechaliśmy z tego małego lasku, i tam znowu była taka debra, wykrot. Ojciec wjechał tam, nie znał, bo to nie znane nam, tam nie uczęszczaliśmy. I nam się wóz przewrócił w tych wykrotach. Przewrócił się, poprzewracał się nie wiadomo jak, dobrze że koniowi się nic nie stało. A tu już coraz słyszeć strzały, już słyszeć gwizdy nawet kul. A ojciec mówi: „A ty uciekaj” A ja mówię: „To ja z nimi pobiegnę, z tymi partyzantami” A ojciec mówi: „Dobrze” Gdzie tam była głowa? No i ja z razem z nimi. I pobiegliśmy do sąsiedniej wsi, takiej wysiedlonej właśnie, co była nasiedlona przez tych czarnych. I wpadliśmy na taką drogę, taką wewnętrzną, drogę od gospodarstwa, i tą drogą biegniemy w tamtą stronę. A tu naraz przy tej drodze taka wielka kępa tarnin. No i w te tarniny. A tu już zaczyna samolot krążyć. Schowaliśmy się w tarniny, a tam w tych tarninach ranny facet leżał. I prosi nas: „Na litość boską. Idźcie stąd, bo jak ja zostanę sam, to może tu przetrwam, a jak nas będzie tyle –no bo już nas czworo jest –to nas wypatrzą” No i tam któryś z tych mówi: „Ma rację, zostawmy go” I lecimy tą drogą w stronę tej wsi, jak już dochodziliśmy blisko, to stamtąd ogień otworzył facet, ten co tam mieszkał, do nas. No to my z powrotem zawróciliśmy. No i trochę odbiegliśmy, i w żyto. Żyto wysokie. Jeden chłop i drugi w portkach, żyto im tam pomiędzy nogami przelatuje, a ja mała w sukieneczce i jeszcze tą ciepłą kurtkę mam na plecach. Ciężko mi, ale żał mi rzucić. No jak rzucę, no to przepadnie już. No i uciekamy, a samolot nas wypatrzył, i co zatoczy koło, to tududududu koło nas, to my tam się pokładziemy. I znowu lecimy, jak on polecie, to my znowu lecimy, bo zmierzamy do lasu, bo tam jest las. Musieliśmy przebiec przez takie pole, gdzie był państwowy łubin, a łubin, to jest niski. No i przez ten łubin biegło się dobrze, ale nas było łatwo wypatrzyć, wreszcie któryś krzyczy: „Lodziu, zdejmij chustkę” A ja miałam na głowie chusteczkę białą, to była widoczna taka. I ja tę chustkę zdjęłam, tam gdzieś sobie utkałam, nie wiem gdzie. I co ten samolot zakręci, to się kładziemy, co odleci, to my biegniemy wtedy. I jak już było tak nie daleko tego lasu, to oni już na mnie się nie oglądali, już mnie zostawili. I polecili do lasu. A ja sobie tam poleżałam jeszcze trochę, samolot już się uspokoił, no bo już nie ruszałam się, i wtedy sobie pomalutku weszłam do lasu. A tam są też takie debry, wykrocia takie. I idę tą debrą –cichusieńko jak makiem zasiał, nikogo nie ma. Myślę sobie: „Boże, nikt nie uciekł do lasu?” Las znałam, bo chodziłam tam na grzyby, i wiem, że jest taka polana. Wychodzę na górę –„che che che, che che che”- kasztanka moja przywiązana jest, już mi się odzywa, już mnie wyczuła, że ja wyszłam. Mówię: „No kto cię tu przywiązał? Tata cię przywiązał?” Jak ona się ucieszyła, że ja przyszłam. I mówię: „Dobrze, będę już koło ciebie siedziała” Położyłam tą marynarę zimową na trawie koło niej, i ona tak biedna stała grzecznie w tych krzakach, a ja koło niej leżałam, bo byłam też już zmęczona tym wszystkim. I już później zmrok zaczyna się, mgła opada, mokro się zrobiło, ciemno się zaczyna robić.

I na raz słyszę: „Ludzie! Ludzie! Wyjdźcie!” Żeby pan zobaczył ile wylazło ludzi, a nikogo nie było w lesie. Byłam zdziwiona, a to mój ojciec kasztankę przywiązał i poszedł w stronę wsi, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. I jak zobaczył, że już odjechali, i mama wyszła, no to wrócił po kasztankę. No i tu wszystkim powiedział, że mogą wracać, to całe procesje szły do wsi później, a nikogo w lesie nie było. Tak ludzie siedzieli, a przecież z małymi dziećmi byli, i że żadne dziecko nie płakało, nie zakwirczało, tylko cisza taka, a najbardziej, to się koń ucieszył. Jezu, jak on się ucieszył! No i wtedy właśnie z drugiej strony brat przyszedł z krowami i już razem przyszliśmy do domu. W domu śmy się przespali, i o świcie, jak świtało tylko, to z powrotem uciekliśmy do lasu, i przesiedzieliśmy jeszcze cały dzień w lesie bez jedzenia, bez niczego, i nikt nawet nic nie mówił, i nie grymasił. Przesiedzieliśmy cały dzień, na wieczór wróciliśmy. A ta pacyfikacja, to oni jak przeszli, to kogo spotkali, to wszystkich zabrali, wszystkich zabrali. I między innymi zabrali tego folksdojca, tego starego. I on widocznie nie mógł się z tym pogodzić, bo ich tam gdzieś spędzili do stodoły wszystkich. I on pomieszania zmysłów dostał, i wylazł tam na banty pod sam szczyt, i tam wykrzykiwał różne rzeczy. Niemcy go zabili na pewno, to znaczy Niemcy, to nie byli Niemcy. To jest cała historia pacyfikacji. A tych czarnych właśnie, to nasiedlili tam, jak Polaków powysiedlali, i naszą wieś przydzielili jako siła robocza do Cieszyna, Nowa Lipina, Hajowniki, Wolica. Nasza wieś była do Cieszyna. To przyjeżdżał taki baor, tak nazywali tych gospodarzy, i do sołtysa, no i mówił, że chce tam czterech mężczyzn i trzy kobiety. No to w zależności do jakich robót. No i zabierali albo na trzy dni, albo na cały tydzień. A tam nagotowali brukwi w kotłach takich jak dla wojska, ze wszystkim, z tymi łupinami, ze wszystkim. Przeważnie ojciec jeździł, to co z domu mógł, to sobie tam brał, żeby coś mógł zjeść, bo później nie było siły robić, a tam trzeba było robić, żniwa czy coś. No a później partyzanci napadli na ten Cieszyn, w nocy wycharatali sporo, spalili. No i po tym też jeździliśmy, to już i ja jeździłam, ale to na dzień tylko. W każdym bądź razie już się trochę zmieniło, poprawiło się, bo już jeść lepiej dawali, nawet do domu nieraz dała tam coś. Jak ojciec był, to kartofli na przykład przywiózł jakiś woreczek. Na wiosnę, to już i ja jeździłam do roboty. Kartofle śmy przebierali, to taki przykry był widok, bo to spalone było, te okna powybijane. Później sąsiadka nasza tam się zatrudniła u jednego takiego baora, i jak trzeba było jemu do roboty chłopca, to zawsze ojca mojego brali, bo to już było po znajomości. A na niedzielę na przykład, to on ją przywoził, bo ona tutaj zostawiła dużo dzieci, dwoje było w Niemczech na robotach, ale wrócili szczęśliwie później. To on przywoził ją, to tam dla tych dzieci coś tam przywoził, to jeszcze zawsze i ojcu tam coś [zostało].

Data i miejsce nagrania	2017-06-22, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Redakcja	Piotr Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"